



Wróg w natarciu

Smok szalał na skalnym podeście, plując ogniem na wszystkie strony. Martin z ulgą zauważył jednak, że gad jest przykuty do skały i prawdopodobnie ślepy. Kiedy podzielił się swoimi spostrzeżeniami z przyjaciółką, Lisie natychmiast zrobiło się żal stworzenia, które miało liczne rany i blizny po łańcuchach.

— Nareszcie możemy nasłuchiwać — wyszeptała chwilę później, kiedy smok w końcu się uspokoił i ułożył pod skalną ścianą.

— Mam nadzieję, że nie przybyliśmy tutaj za późno — wyszeptał Martin, kiedy pół godziny później nic się nie wydarzyło.

— W sumie nie wiemy nawet o której dokładnie godzinie Potter się tutaj pojawił...

Lisa westchnęła ciężko.

— Zaczynam się obawiać, że Traversowi mogło chodzić o coś zupełnie innego niż założyliśmy — wyznała ze smutkiem. — Może wcale nie zamierzał, złapać Pottera w tym miejscu...

Martin nagle coś sobie przypomniał.

— Prakседа mówiła, że jej zmieniacz czasu nie pozwala cofnąć się dalej niż kilka godzin wstecz! — z trudem wyjąkał lodowatym tonem. Lisa obdarzyła go pełnym niedowierzania i wściekłości spojrzeniem.

— Martin! Jak mogłeś o tym zapomnieć?! — wrzasnęła ze złością, czerwieniejąc na twarzy. — Przecież to oznacza, że ten śmierciożerca na pewno się tutaj nie zjawi!

Martin spuścił wzrok. Był wściekły na siebie. *Że też wcześniej o tym nie pomyślałem!*

— Całe to zamieszanie w Ministerstwie... dużo się działo... jakos tak... no... po prostu... zupełnie zapomniałem... — wymamrotał głęboko zmieszany. Lisa prychnęła ze złości.

— Świetnie! Wszystko na darmo! — zawołała i niemal natychmiast zamilkła.

— Kroki, słyszę czyjeś kroki — pisnął Martin, a jego przyjaciółka natychmiast kucnęła za skalnym wzniesieniem. Oboje zaczęli nasłuchiwać. W jaskini dało się słyszeć echo jakichś rozmów i czyis kroków. Lisa jednym machnięciem różdżki rzuciła zaklęcie Kameleona na siebie i Martina. Oboje wciąż w napięciu nasłuchiwali, przyklejeni do skały.

Po dłuższej chwili zza rogu wyłoniło się pięć osób. Dwoje z nich było goblinami. Towarzyszyło im dwóch młodzieńców i jedna dziewczyna. Na ich widok Lisa mocniej ścisnęła ramię Martina.

Smok także zauważył obecność kolejnych intruzów. Kiedy

rzygnął ogniem w ich stronę, cała piątka schowała się w głęboki korytarz. Jeden z goblinów pospiesznie wyjął jakieś dziwaczne urządzenia ze skórzanej torby i rozdał je pozostałym. Kiedy wszyscy zaczęli nimi potrząsać, pieczarę wypełnił dźwięczny odgłos, przypominający uderzenia małych młoteczków w kowadełka.

— To niesamowite — szepnęła podekscytowana Lisa. — Harry, Ron i Hermiona jakich pamiętam z czasów szkolnych!

— Dotarli do skarbcza — jęknął ze zgrozą Martin, wychylając się nieznacznie zza skały, żeby lepiej wszystko widzieć. — Jak mogłem się tak pomylić! Miałaś rację! Travers kombinował coś zupełnie innego!

Piątka przybyszów zaczęła energicznie potrząsać urządzeniami, które jeden z goblinów nazwał Brzękadłami. Wydawane przez nie dźwięki odbijały się od ścian i sklepienia jaskini, zwielokrotniając ich głośność. Martin ze zdumieniem zauważył, że smok wyraźnie boi się tego dźwięku i wycofuje się do tyłu pieczary. Dzięki temu nastoletni czarodziej i dwójka goblinów bez problemu dotarli do czwartego skarbcza.

— Każ mu przycisnąć dłoń do drzwi! — krzyknął jeden z goblinów do nastoletniego Harry'ego. Czarodziej wycelował różdżką w starego goblina, a ten go usłuchał. Drzwi zniknęły i po chwili cała piątka weszła do skarbcza Lestrangle'ów. Martin dojrzał zza skały, że rozglądają się po pieczarze w poszukiwaniu horkruksa. Zanim jednak zdołali go znaleźć, drzwi do skarbcza zamknęły się ponownie.

— I co teraz? — spytała zrezygnowanym głosem Lisa. — Wracamy? Cała ta wyprawa była kompletnie niepotrzebna!

— Poczekajmy jeszcze chwilę, Liz — prosił błagalnym tonem Martin. — Mam dziwne przeczucie, że ten gnojek się tutaj pojawi...

Lisa westchnęła ciężko.

— Niby jak, skoro zmieniacz czasu mu na to nie pozwoli?! — spytała nieco pretensjonalnym tonem. — Tracimy tutaj tylko czas.

Zza drzwi skarbcza dochodziły jakieś stłumione odgłosy. Dźwięk trzaskającego metalu, pojękiwania pełne bólu i ledwie dosłyszalne strzępki rozmów. Przed skarbcem nikt się jednak nie pojawił. Co gorsza z głębi tuneli dało się już słyszeć odgłosy goblinów i ochrony, która z pewnością już zorientowała się, że Harry Potter jest w podziemiach.

— Wszystko na nic, Martin — jęknęła bezradnie Lisa. — Nie ma go.

Martin już miał wyjść zza skalnego wzniesienia, kiedy nagle tuż przed skarbcem Lestrangów, poza zasięgiem smoka, zmaterializował się Travers. Był ubrany dokładnie tak samo, jak tego dnia, gdy napadł Martina w Hogsmeade. W dłoni trzymał zmieniacz czasu Praksedy.

— A jednak! — uradował się Martin. — Jakoś się tutaj dostał!

Śmierciożerca zbliżył ucho do drzwi skarbcza i nasłuchiwał rozmów Harry'ego Pottera z przyjaciółmi. W dłoni nie miał nawet różdżki. Zupełnie jakby nie spodziewał się, że ktoś spróbuje pokrzyżować mu plany. Tymczasem odgłosy grupy goblinów i ochrony przemierzającej tunele i zbliżającej się do pieczary, stały się coraz głośniejsze.

— Za chwilę zrobi się tutaj naprawdę nieprzyjemnie — stwierdziła spanikowanym głosem Lisa.

— Masz rację. Pora wracać — odparł Martin, powstając gwałtownie i wyciągając różdżkę w kierunku Traversa. — *DRE-TWOTA!*

Zakęcie z impetem walnęło w Traversa, który widocznie zupełnie się tego nie spodziewał. Kompletnie bezbronny osunął się na ziemię.

Dopiero teraz smok zdał sobie sprawę z obecności kolejnych

intruzów. Zanim jednak zdołał się podźwignąć na przednie łapy, Martin i Lisa pędem podbiegli do śmierciożercy. Lisa chwyciła zmieniacz czasu Praksedy i przytuliła się do Martina. Ten nie zwlekając ani chwili dłużej złapał głowę Traversa i zarzucił łańcuszek ze zmieniaczem czasu na swoją i przyjaciółki szyję.

— Dwunasty października dwa tysiące siedemnastego roku — powiedział stanowczo. Wszystko ponownie zaczęło wirować i rozmazywać się. Cienie postaci ponownie się pojawiały i znikaly. Kiedy po dłuższej chwili wszystko ustało, Martin odetchnął z ulgą. Smoka już nie było. Znowu znajdowali się w terażniejszości. Zanim jednak zdołał okazać swoją radość, jakieś zakłęcie rąbnięło go z impetem prosto w głowę. Było na tyle silne, że rzuciło nim do tyłu, pod sam skarbiec Lestrangle'ów. Poczul jak jego ciało oplątują niewidzialne więzy. Nie mógł się w ogóle poruszyć. Lisa instynktownie sięgnęła po swoją różdżkę, ale zanim zdołała cokolwiek zrobić, ktoś rzucił się na nią, przewracając na skalną posadzkę i przygniatając ciężarem swojego ciała.

— Gilbert, co ty do cholery wyprawiasz?! — wrzasnął z przerażeniem Martin, wciąż próbując wyzwolić się z niewidzialnych więzów, które skutecznie krępowały jego ciało. — Zostaw ją w spokoju!

— Złaż ze mnie, ty obrzydliwy karaluchu! - wrzeszczała Lisa, wściekle miotając się po skalnej posadzce i bezskutecznie próbując wyzwolić się spod silnego ucisku swojego oprawcy.

— Od dawna chciałem się do ciebie dobrać, suko! — syknął z uśmiechem Gilbert, zbliżając swoje usta do twarzy Lisy. — Udajesz wielką cnotkę, ale tak naprawdę jesteś zwykłą szmata!

— Zostaw ją, ty bydlaku! — wrzasnął wściekle Martin, kiedy ręka Gilberta powędrowała do piersi Lisy, a jego kolano pomiędzy jej nogi. — Zabiję cię! Zatłukę gołymi rękoma!

Wrzaskom Martina towarzyszyły także krzyki Lisy, która wciąż starała się zrzucić z siebie napastnika. Ten był jednak zbyt duży i

stanowczo za silny.

— Jesteś taka słodka — wyszeptał jej Gilbert, w ohydny sposób liżąc jej twarz, a jedną rękę wkładając pod spódnicę. — Szkoda, że nie mamy więcej czasu. Nauczyłbym cię pokory...

— Przestań, proszę! — jęknęła, łkając z bezsilności.

— Dlaczego to robisz?! — wrzeszczał wściekle Martin. — Jesteś przecież naszym przyjacielem!

Na te słowa Gilbert oderwał usta od szyi Lisy i na moment spojrzął w kierunku bezradnego Martina.

— *Przyjacielem?!* — powtórzył z rozbawieniem. — Jaki ty jesteś naiwny... Sądziłeś, że zaprzyjaźnię się z takim tępym i parszywym mugolem, jak ty, Roman?!

Zanim Martin zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Lisa wykorzystała moment nieuwagi swojego oprawcy. Podniosła głowę i z całej siły ugryzła go w ucho, przy okazji odgryzając spory jego kawałek. Gilbert zawył wściekle z bólu. Odruchowo walnął Lisę z pięści w twarz i opadł na posadzkę, tuż obok wciąż nieprzytomnego Traversa, łapiąc się za krwawiące ucho.

— Zabiję cię za to, co jej zrobiłeś! — wrzeszczał Martin wśród wrzasków Gilberta, wijącego się z bólu. — Przemebłuję ci tą twoją parszywą gębę!

Odzyskując swobodę, Lisa pospiesznie wstała, sięgając po różdżkę. Jej twarz zalana była krwią, która obficie broczyła z jej połamanego nosa. Wprost kipiała wściekłością. Dysząc ciężko, stanęła nad Gilbertem, kompletnie nie zwracając uwagi na swój krwawiący nos.

— Pożałujesz tego, ty parszywa gnido! — syknęła pełnym nienawiści głosem. — *CRUCIO!*

Gilbert zaczął się wić po posadzce niczym węgorz. Pieczarę wypełniły jego wrzaski, jęki i okrzyki. Martin poczuł, jak niewidzialne więzy ustąpiły. Czując narastającą wściekłość, gwałtownie powstał i ruszył w kierunku oprawcy swojej przyjaciółki.

Zabije skurwysyna! Gołymi rękoma!

Zanim jednak zdołał stanąć obok Lisy, ktoś niespodziewanie chwycił go za nogę na wysokości kostki. Zdumiony spojrzął za siebie i spostrzegł Traversa próbującego odciągnąć go na bok. Śmierciożerca zaatakował tak nagle, że bez trudu udało mu się rzucić Martina na posadzkę.

— Martin! — zawołała Lisa, odwracając się do tyłu i przerywając działanie klątwy. — Zostaw go!

Travers był jednak nieugięty. Pozbawiony różdżki, szarpał Martina swoimi wielkimi łapskami, próbując wydłubać mu oczy. Martin dzielnie się bronił, przewracając co chwilę śmierciożercę na plecy.

— Pożałujesz dnia, kiedy mnie spotkałeś! — warknął, tłukąc Traversa na oślep pięściami po twarzy. Lisa, dygocąc ze wściekłości, przyglądała się temu przez chwilę, czekając na odpowiedni moment, aby trafić zaklęciem w śmierciożercę. Ilekroć unosiła jednak różdżkę, Travers osłaniał się Martinem. Ten moment nieuwagi Lisy ponownie wykorzystał Gilbert.

— TY SUKO! — wrzasnął, ponownie waląc Lisę z pięści w twarz. Martin szarpiąc się z Traversem, kątem oka zauważył tę sytuację. Kiedy Lisa bezwiednie osunęła się na posadzkę, a na gębie Gilberta pojawił się drwiący uśmiezek, czarodziej poczuł zalewającą jego serce wściekłość.

— POŻAŁUJESZ TEGO! — wrzasnął, starając się wyszarpać z ramion Traversa, żeby rzucić się na Gilberta. Z głębi korytarzy zaczęły dochodzić odgłosy czyich kroków i rozgorączkowanych rozmów.

— Niestety, na nas pora — rzucił z rozbawieniem Gilbert, kiedy dosłyszał zbliżającą się grupę aurorów. — *Dretnwota!*

Zaklęcie ugodziło Martina prosto w pierś. Ten osunął się na posadzkę tuż obok nieprzytomnej Lisy. Ponieważ upadł na brzuch, poczuł na twarzy coś ciepłego. Przerażony spostrzegł,

że leży w kałuży krwi swojej przyjaciółki. Co gorsza, kałuża ta robiła się coraz większa.

— Dałeś się wyrolować koncertowo — stwierdził z pogardą Gilbert, nachylając się na moment nad Martinem, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. — Od samego początku wodziłem cię za nos. Zrobiłeś dokładnie to, co chcieliśmy żebyś zrobił.

— A teraz zgnijesz w Azkabanie! — dodał Travers, rechocząc niczym oblakany. Gilbert kopnął Martina w głowę. Ten nie mogąc się uchronić przed ciosem, siłą uderzenia został obrócony na plecy.

— Nie pozwól jej tak umrzeć! — zawołał błagalnym tonem do Gilberta, który podszedł teraz do Traversa i zarzucił mu łańcuszek ze zmieniaczem czasu na szyję. — Proszę! Błagam cię!

Travers prychnął z pogardą, chowając do kieszeni zmieniacz czasu Praksedy. Gilbert spojrział jednak na Martina z nieco dziwnym wyrazem twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę. *Czyżby się wahał, jak postąpić?*

— Masz to, czego chciałeś! — kontynuował rozpaczliwie Martin. — Co ci da śmierć Lisy?! Nie pozwól, żeby się tutaj wykrwa-
wiła! Błagam cię!

Travers zarechotał, wyraźnie rozbawiony. Gilbert westchnął ciężko i z lekkim oporem machnął różdżką w kierunku nieprzytomnej Lisy.

— Po co to zrobiłeś?! — oburzył się śmierciożerca.

— Jej śmierć jest niepotrzebna! — warknął z poirytowaniem Gilbert i zanim użył zmieniacza czasu, raz jeszcze spojrział w kierunku Martina. — Mam nadzieję, że lubisz ciasne pomieszczenia, Romuś!

Kiedy przekręcił magiczną klepsydrą zawieszoną na łańcuszku, obaj momentalnie zniknęli. W tym momencie Martin poczuł jak zaklęcie drętwoty przestaje działać. Z drżącym sercem podniósł się i przykucnął obok wciąż nieprzytomnej przyjaciółki. Z

ulgą zauważył, że nadal oddychała. Choć jej twarz była brudna od krwi, nie miała już żadnych ran.

— Poskładał cię — wymamrotał Martin, upewniając się, że Lisa nie jest ranna. Głosy aurorów były już naprawdę mocno słyszalne. Musieli być bardzo blisko. Martin zaczął się gorączkowo zastanawiać, co zrobić. Gdzie uciekać? Przypomniał sobie o miotłach ukrytych w torebce Lisy. Już miał po nie sięgnąć, kiedy dostrzegł w kącie pieczary kolejną plamę krwi.

— Jasna cholera! — zawołał przerażony, kiedy powstał i tuż za skalnym wzniesieniem spostrzegł ciało goblina Begroda. — Gilbert poderżnął mu gardło!

Głowę Martina zaczęły bombardować setki myśli. Ogarnęła go panika. Nie miał pojęcia, co robić. *Nie mogę pozwolić, żeby Lisa miała przeze mnie kłopoty! Ona nie może za to beknąć!*

Podbiegł do wciąż nieprzytomnej przyjaciółki. Przeciągnął ją do jednego z bocznych korytarzy i kiedy upewnił się, że jest całkiem bezpieczna, rzucił na nią zakłęcie Kameleona.

— Mam nadzieję, że jakoś uda ci się stąd wydostać — wyszeptał do niej w chwili, kiedy z jednego z korytarzy wyłonili się pierwsi aurorzy.

— Romanie Piskorz, poddaj się! — zawołał na jego widok jakiś barczysty czarodziej z łysiną na głowie, celując do niego różdżką. — Jesteś osaczony!

Po chwili do aurora dołączyło czterech innych.

— Teraz to już się nie wywiniesz! — syknął triumfalnie najniższy z nich, kiedy spostrzegł ciało goblina leżące w kałuży krwi.

— No, nie. Teraz to już niczego nie zmienię — wymamrotał pod nosem Martin upuszczając różdżkę i podnosząc ręce do góry.